Tchnienie umierającego cz.1 — Krzysztof Konrad

Od autora: To cykl ćwiczebny, w którym trenuję głównie siłę woli. Tzn. uczę się doprowadzać sprawy do końca, gdyż mam problem z dokańczaniem tego, co już zacząłem. Nie bez kozery o tym wspominam - nie obiecuję przez wzgląd na to, że będzie to doprowadzone do końca. Jest to także mój pierwszy tekst, w którym wykorzystuję dokładny plan dramaturgiczny i fabularny.

Długie sznury samochodów kierujących się do centrum to codzienność we wszystkich miastach świata.

W El Paso nie było inaczej. Mieszkańcy wiosek i mniejszych aglomeracji nie mieli czasu na drobne zakupy. Wybierali się na nie po wyczerpaniu domowych zapasów. Szukając okazji, odwiedzali wiele sklepów i wracali dopiero po południu. Wtedy zablokowana była droga wyjazdowa. Kiedyś większość ludzi twierdziła, że nieświadomie doprowadzało się do wszechobecnej ciasnoty. Gdyby żyła choć część z tych ludzi, widzieliby w tym wiele dobrego.

– Hyundai, honda, chevrolet… – wyliczał Kevin – zwolnij, tato! Nie zauważyłem czwartego.

– Czwarty był biały jaguar na blachach z Luizjany – tłumaczył Edwin, próbując jednocześnie przedrzeć się między pojazdami blokującymi szosę – teraz będzie niebieski Jeep, potem dwa suv-y i jeszcze sportowy mitsubishi eclipse – ojciec recytował znudzonym głosem wszystkie modele, które zapisały mu się w pamięci.

Syn Everricha spuścił głowę. Oddychając pośpiesznie, liczył kolejne auta. Nie potrafił darować sobie tego, co stało się przed wyjazdem i objął zagłówek taty, jakby chciał go przeprosić.

– Nadal jesteś zły? Bolą mnie plecy od tej butli – dodawał kolejne zdania, nie dając szansy odpowiedzi – a od oddychania poci mi się nos. Tato, czemu tym kierowcom widać wszystkie kości?

Edwin zatrzymał starego cadillaca przy jedynym SEARS-ie w El Paso. Choć dobrze wiedział, że mógłby jeździć każdym z trzydziestu zaparkowanych pojazdów, nigdy nie wziąłby cudzej rzeczy. Nawet, jeśli na miejscu kierowcy spoczywa jego szkielet.

– Nie zły, a zatroskany, rozumiesz? Nigdy więcej nie zdejmuj maski. – Kucnął przy nim i poprawił butlę z powietrzem, nie spuszczając wzroku z orzechowych tęczówek syna. – Nigdy – dodał oschle i chwycił jego dłoń, kierując go w stronę uszkodzonych drzwi marketu. Otwierały się i zamykały bez żadnej przyczyny.

Choć minął rok, ubyło niewiele towaru. Edwin przeszedł się między alejkami. Wrócił następnie do pierwszej z nich i spakował kilka pięciolitrowych baniaków wody mineralnej. Zauważył przy tym puste miejsca po butlach, które zabrali poprzednim razem. – Weź sobie mleko, jest na końcu sklepu. Tylko pamiętaj, nie bierz nic, czego data produkcji wykracza poza kwiecień.

– Nie sądzisz, tato, że to trochę kradnięcie?

Echo głosu Kevina rozeszło się po sklepie.

– Mówi się kradzież – krzyknął w stronę syna – już ci tłumaczyłem, że gdyby był tu choć jeden kasjer, zapłaciłbym mu nawet potrójną cenę.

Położyli na ladzie kilka dolarów, choć nikt nie wziął jeszcze tych pozostawionych przez nich poprzednie zakupy.

Pojechali w stronę *Thorn Avenue* – jednej z ulic dzielnicy *Remcon.* Edwin zdał sobie sprawę, że kolejny raz pomylił drogi. Zawrócił na niedziałających światłach i zrugał się za uleganie przyzwyczajeniu, przez które często dążył tam, gdzie nie ma już czego szukać.

Nie ma jej, kretynie. Szukałeś wszędzie. Nie ma Emmy*, nie ma…* – pouczał się w myślach, mieląc kołami wysuszone kawałki zwłok, leżące nieopodal przejścia dla pieszych, na którym już nikt z żyjących nie musiał zwalniać.

Hala produkcyjna sprzętu do nurkowania znajduje się na zachód od parku miejskiego *Franklin Mountains.*

Everrich wyciskał siódme poty z trzydziestoletniego rzęcha, żeby dotrzeć na czas. Pozostawała mu jeszcze godzina, a przedtem musiał pouczyć Kevina z fizyki. Przez kilkaset metrów wpatrywał się w ślady opon, których nie odznaczyły koła jego cadillaca. Były szerokie, a bieżnik wskazywał na cięższy pojazd. Im bliżej hali prowadziły ślady, tym bardziej przyspieszali, aż ujrzeli zniszczoną bramę wjazdową. Zataczając pojazd na wyłączonym silniku ominęli roztrzaskane fragmenty kłódki, którą Everrich założył przed wyjazdem. Drzwi frontowe hali opierały się o mury budynku, jakby ktoś odciął zawiasy.

– Połóż się najniżej jak możesz i nie wychylaj się, zrozumiano? – rozkazał Kevinowi, by nie zauważył, jak on przed sekundą, człowieka nabitego na pułapkę skonstruowaną z bron rolniczych.

Wysiadł z samochodu, otworzył bagażnik i wyjął z niego stalowy klucz do kół. Plama krwi powiększała się. Everrich wdepnął w nią, gdy podbiegał do ofiary pordzewiałych kolców pułapki. Okazało się, że przyczyna rozległego krwotoku leżała w jednym z ostrych elementów mechanizmu. Wbił się w tętnicę udową. Kolejne tryśnięcie z tętnicy chlupnęło wąskim strumieniem na głęboką zmarszczkę między brwiami Everricha. Zrezygnował z pomocy ofierze, gdy rozległ się dźwięk silnika. Ryk dochodził z wnętrza hangaru. Edwin rozpoznał stukot tłoków Dodge'a campera. Zaciskając dłoń na rękojeści klucza, wbiegł do środka, zamachnął się bez większego namysłu i chlasnął nogę łupieżcy domykającego drzwi w pośpiechu. Jak skoczek basenowy, wypadł w bezruchu z miejsca pasażera. Rozbił przy tym czaszkę i swoją butlę z powietrzem o betonową posadzkę.

Zanim Edwin podziękował swoim rękom za nieludzką tężyznę, poczuł w gardle metaliczny posmak krwi po błyskawicznym ciosie kastetem. Przez siarczysty podarek, wymierzony prosto w nos, przebiła się ochronna część maski. Rozpoznał, że cios pochodził od kierowcy, obalając się o faceta nadzianego na pułapkę. Nim ogłuszony Everrich postanowił wstać, zatamował na chwilę dziurę w masce, wziął duży haust powietrza, po czym całkowicie ją zdjął. Wytarł zakrwawione oblicze w zgniłozielone spodnie. Sądził, że ma na to czas w pojedynku na cztery ręce, jednak po dwóch sekundach wyłoniło się jeszcze pięć par pięści. Raz przy raz smagali jego żebra, odbierając jednocześnie ostatni oddech. Każdy kolejny wdech bez osłony zabiłby go w mgnieniu oka. Mroczki przed oczami rozmywały obraz i zaburzały zdolność logicznego myślenia. Jednak nie na tyle, by nie skorzystać z maski okaleczonego rabusia. Żłopał powietrze z butli dogorywającego członka grupy dziwiąc się, że nie czuje już gradu pięści na trzewiach. Kątem oka wypatrzył odjeżdżającego campera.

Szofer zatrzymał pojazd przy białym cadillacu, gdy zobaczył w środku wystraszonego Kevina. Edwin zdjął butlę z pleców, żeby się odciążyć i błyskawicznie odbił ciało od betonowej posadzki zalanej krwią. Malec naprzemiennie skupiał wzrok na przedniej szybie, zza której coraz wyraźniej rysowała się postać biegnącego na jednym wdechu ojca oraz bocznej

– którą kierowca roztrzaskiwał w drobny mak. Mały Everrich wtulił się w najdalszy kraniec siedzenia, dziękując bogu za głupotę włamywacza, który nie pomyślał o odblokowaniu zamka drzwi. – *Ręka Billego dosięgnie każdego!* – małpi krzyk kolegów dopingujących go z dodge'a docierał zarówno do uszu roztrzęsionego chłopca, jak i pędzącego na omdleniu ojca. Edwin nabrał dodatkowej szybkości i wbił się w oprawcę niczym rozwścieczony byk. Zanim opadł kłąb wzniesionego piasku, czerwony dodge, wraz z Billem na pokładzie, rozpłynął się za widnokręgiem. Choć ból zapadających się płuc pustoszył zmysły Edwina, zdążył przewiesić obolałe ciało przez okiennicę pikowaną resztkami ostrych fragmentów szyby. Drobinki szkła wbiły się w tors ojca, ale ostatecznie zdołał podpiąć rurkę podającą powietrze z butli do ust duszącego się syna. Po wszystkim stracił przytomność i zawisł na drzwiach jak jesienne palto.

Pas mocujący przerzucili wcześniej przez trzystu-funtową skrzynię biegów i kopnęli synchronicznie w opierające ją klocki. Ta, jak ciało wisielca, runęła w dół po odkręceniu dwóch ostatnich śrub. Zanim naprężony pas ustabilizował się w dłoni chłopca, zdarł mu z palców pokaźny kawał skóry.

– Puść to tylko – groził ojczym, skupiony na konieczności powolnego opuszczania swojej części ciężaru – a ci dupę i wora miejscami pozamieniam.

Żar z papierosa Dwayna Arthura docierał do filtra. Nie miał wolnej kończyny, którą mógłby wyjąć go z ust. Wypluł więc kiepa przed siebie, wprost na twarz Edwina. Było to ledwie ukłucie komara, w porównaniu do pasa ześlizgującego się z obdartej dłoni. Ale oparzenie zdołało zaburzyć jego równowagę. Skrzynia biegów spadła z wysokości pięciu stóp i wyżłobiła mały krater w betonowej posadzce kanału. Dodatkowo, w warsztacie rozległ się dźwięk pękającej kości. Ból jeszcze nie dotarł do jego świadomości. Zdążył więc zdzielić małego Everricha w twarz, aż resztki dymu tytoniowego rozproszyły się w powietrzu przez zabójczą prędkość wyprowadzonego ciosu. Jego dłoń – twarda jak imadło i tak samo silna – bolała podwójnie.

– Czemu Syzyf wtacza cholerny głaz tak wysoko, skoro wie, że nie da rady?!

Nastolatek wzruszył ramionami, rozsmarowując krew po puchnącym policzku.

– Bo musi – cedził rozwścieczony – a nie po to, żeby oglądać turlający się kamień, pieprzony durniu.

Ojczym w charakterze zmory zrehabilitował Edwina lepiej niż impuls elektryczny z defibrylatora. Przyjrzał się własnemu odbiciu w przybrudzonym lustrze, kiedy tylko wstał z łóżka cały poobijany. Nos i usta przysłaniała maska nie pochodząca z jego hali produkcyjnej, natomiast brzuch miał owinięty kilkoma okrążeniami bandaża elastycznego. Rozejrzawszy się, wdział spodnie o kolorze zgniłej zieleni i zlustrował przestrzeń wokół siebie. Po tym, był pewien, że jest tam, gdzie powinien. Nie potrafił pojąć, jak Kevin zdołał ocucić się tak szybko i na czas podpiąć mu nową butlę z powietrzem. Zszedł na pierwsze piętro hali, służące jako przechowalnia sprzętu. Ale zamiast setek butli wypełnionych powietrzem, trafił na powietrze wypełniające pustkę. Tylko rozmazane krople krwi i wielka, czerwona plama z ciała nabitego na brony złodzieja, dekorowały makabrycznie pustostan. Everrich stanął pośrodku, by polepszyć sobie perspektywę na cadillaca ze zniszczoną szybą boczną. Dopiero wtedy pomyślał o Kevinie, jakby do tego momentu nie obchodziło go jego zdrowie. Nie zastał go na tylnym siedzeniu pojazdu. Zaciągnął głęboki, acz spokojny oddech sprężonego tlenu i zmusił się do logicznego myślenia. Spojrzał na wskazówki zegarka. Gdy najkrótsza wskazała mu siódmą wieczorem, oparł ciało spokojnie o wgniecioną maskę samochodu. Zaśmiał się zadziornie i szepnął do siebie. – *Już wiem*.

– Zawór to urządzenie zamykające do regulowania przepływu płynów i wylotów. – Edwin kierował się dziecięcym dukaniem, lekko stłumionym przez nałożoną maskę. Wprawdzie wiedział, że mały uczy się tuż za rogiem, lecz przystanął na chwilę. Chciał posłuchać tego robotycznego głosu - jakby mały Lord Vader uczył się fizyki stosowanej.

– Próżnia natomiast definiuje się inaczej w każdej z dziedzin fizyki. Jednak najbardziej praktyczna jest ta, która to pojęcie tłumaczy jako pustą przestrzeń. Ale jak tata ją stworzył?

Ojciec nakierował się na efektowne wyjście zza ściany i zwilżył wargi, jak przed wykładem dla studentów. Nie pokazał się jeszcze, a już przez ułamek sekundy wydał pierwszy dźwięk, który uciął przytknięciem dłoni do warg, gdy rozległ się głos innej osoby. Edwin delikatnie się cofnął i ujrzał dojrzałą rękę, której palec wskazywał na fragment tekstu w podręczniku Kevina.

– Zobacz – mówił – najlepszą jakość próżni uzyskasz, gdy komora jest zbudowana z aluminium, więc twój tata całą maskę pokrył jego najlepszym stopem, później wkręcił zawór pneumatyczny, podgrzewał ją długo w dwustu stopniach.

– I dzięki temu mogę jeść?

– Gdybyś zdjął maskę, otworzył jadaczkę i włożył tam jedzenie, to umarłbyś przez skażone powietrze, synu. Twój ojciec sprawił, że posiłek możesz wkładać nie zdejmując jej, ale nie pomyślał, że wasza krew się przez to nie utlenia. Ten trik nie działa z wodą, dlatego łykacie ją przez słomkę. Powinniście pić gazowaną, wyprodukowaną przed…

– Kwietniem dwa tysiące szesnastego – wtrącił się tata Kevina.

Troska skrywała się tuż za warstwami oschłej, ale ustabilizowanej powłoki Edwina i gotów był do kolejnej, zaciętej walki. Ten stan utrzymywał się w nim, dopóki na twarzyrozmówcy syna nie spostrzegł głębokich zmarszczek. Jego skóra wydawała się twarda i doświadczona życiem. Opatrunki przykrywały miejsca, w których kolce pułapki penetrowały wcześniej ciało jednego z oprychów. Opanowany dziadek przerzedził grzebieniem bez kilku ząbków bujną, acz posiwiałą czuprynę.

– To wielki zaszczyt, panie Edwinie – witał się serdecznie, chowając grzebyk do tylnej kieszeni – jestem naprawdę zaszczycony poznać tak tęgi umysł.

Kevin lekko wystraszył się jego surowej miny oraz ignorancji, jaką pokazał nieznajomemu.

– Dlaczego? – pytał – po co? – dorzucił raz jeszcze – i z jakiej racji pomogłeś komuś takiemu?

Chłopiec odłożył książkę i odważył się spojrzeć w twarz niedoinformowanego Everricha.

– Pamiętasz tylko ten moment, gdy podłączyłeś mi rurkę, prawda? – zaczął – pan Austin Berringer przyczołgał się do ciebie z butlą i maską jak prawdziwy twardziel i podłączył w ostatnim momencie! – Gestykulował rękoma, żeby odzwierciedlić niesamowitość tej akcji.

– Przecież wszystko ukradli, cholerne larwy – nakręcał się – i taką jedną uratowałeś. – Wskazał starca spojrzeniem spode łba.

– Był taki magiel jak wbiłeś Billego w ziemię, że wypadło im kilka sztuk, a chłopak niczemu nie zawinił, Edwinie. – Austin wysunął jedno z krzeseł i wskazał na nie dłonią, jakby pragnął jedynie świętego spokoju. – Ty, jesteś inteligentny, ale ten chłopiec… – Zawiesił się przez chwilę i dodawał: – ten dzieciak, to…

Nogi siedziska, na którym spoczywał pokiereszowany gość, uniosły się za sprawą lewej ręki Edwina, a chwilę później cały wzniósł się w powietrze. Poznał tę zatrważającą siłę i nie mógł uwierzyć zarazem, skąd tyle energii w tak wąskich przewodach. Tak bardzo zafascynował się byciem pół metra nad ziemią, że nie dosłyszał protestów Kevina ani pytań jego ojca. – Ile?!

– Jakieś siedemdziesiąt kilo, jeśli nie brać pod uwagę, że podniosłeś mnie z krzesłem i pięcioma litrami sprężonego tlenu w stalowej butli.

– Ile kompletów im spadło, starcze? – powtarzał, nie robiąc sobie nic z paniki, jaką zdradzały drgające powieki Austina.

– Jedenaście – odpowiadał błyskawicznie – jedenaście, jak nie liczyć tych, które mamy już na sobie.

– Gdzie znajdziemy twoich sprzymierzeńców?

– Nie byli moimi sprzymierzeńcami. Byłem ich więźniem. – Objął pięść opinającą mu kołnierz koszuli na gardle. – Puść mnie, to się nie uduszę i wszystko powiem.

Everrich postawił Austina jak najlżejszego pionka na szachownicy.

– Jestem bioinżynierem – wyznał – i chyba nie muszę tu nic więcej dodawać.

– Lepiej dodawaj jak najwięcej.

– Naprawdę mnie nie znasz? To ja nagłośniłem sprawę ze skażeniem. Nikt mnie nie słuchał, ale zrobiłem sobie zapas butli dla nurków na kilka ładnych miesięcy. Ci skurwiele ograbili mnie tak jak was i wykorzystywali do projektowania praktyczniejszych masek. Nie potrafiłem tego zrobić, więc kiedy skończył im się mój zapas powietrza, znaleźli sobie inny.

– Moją halę produkcyjną!

– I zrobili ze mnie durszlak, wpychając na tę pułapkę, gdy tylko przestałem być potrzebny. – Macał się po całym ciele. – Zdążyłem zasłonić flaki rękami i, praktycznie rzecz biorąc, pizgłem w nią bokiem. Podziurawiło i połamało mi wszystkie kończyny. Jeden kolec wbił się w policzek i wybił po drodze trzy zęby, a kolejny przebił tętnicę, spójrz tylko. – Odpinał guziki flanelowej koszuli, zza której uwidaczniało się coraz więcej świeżo zabliźnionych ran. – To dziecko zajęło się mną lepiej niż lekarz.

– Gdzie oni teraz są? – zmienił temat, pozornie nie robiąc sobie nic z dokonań syna.

– Jadą tam, gdzie kiedyś była Madera, małe miasteczko za pustynią Chihuahua. Podobno jest tam azyl dla ocalałych. Charles Repairs, światowej sławy fizyk i, kiedyś cudowne dziecko, znalazł sposób na *suciedad.*

– To po hiszpańsku? Skąd o tym wszystkim wiesz? – Edwin miał w związku z tym coraz więcej pytań.

– Dosłownie znaczy zabrudzenie, ale tak, chodzi o tlen, który nie zabija na tym świecie nic, prócz ludzkich i zwierzęcych płuc. O to się rozchodzi, że nawet nie wiadomo, czy rzekome miasto istnieje. Ci idioci mają ze sobą syna Reapairsa. Jestem naukowcem i wiem, że Charles rzeczywiście spłodził kaszojada. Zresztą, jaki dzieciak wymyśliłby taką bajkę?

– Dzieci lubią opowiadać bzdury – dorzucił Kevin.

– Ale nie znają takich nazwisk. Nawet jeśli cały azyl jest stekiem bzdur, to praktycznie rzecz biorąc wiesz, gdzie znajdziesz skradzione butle.

Wszyscy naraz zamilkli z nadzieją wypisaną na twarzach. Chłopiec objął dłoń ojca i rozpłakał się. Berringer nie ukrywał dawki zniesmaczenia, jaką przysporzył mu ten widok.

– Powiedz tato – błagalnie szeptał – powiedz, że mama poszła do tego miasta.

Edwin wypuścił otłuszczone palce Kevina i przełożył nerwowo falowane włosy na drugą stronę głowy.

– Nie powiem tego – odrzekł, stopniując fascynację – ale musimy to sprawdzić i, przede wszystkim, odzyskać powietrze. Wskazał następnie Austina, palcem poczerniałym od długotrwałego kontaktu ze smarem. – A ty, dostaniesz od nas jeszcze jedną butlę i módl się, żebyśmy znaleźli do tego czasu ratunek.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelakiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Krzysztof Konrad, dodano 29.09.2017 11:08

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.